



ROZMOWA Z MAGDALENĄ CIELECKĄ

TRZEBĄ LECIEĆ

Dwadzieścia lat temu powietrze pachniało obietnicą. Dziś pachnie niepewnością
– mówi aktorka **MAGDALENA CIELECKA**

ROZMAWIA DAWID KARPIUK ZDJĘCIE MAREK SZCZEPAŃSKI

NEWSWEEK: 22 lutego 2002 r., dwa dni po trzydziestych urodzinach, stoi pani na scenie Teatru Rozmaitości, półnaga, zalana krwią i krzyczy: „Pierdol się za odrzucenie mnie, pierdol się za wykrwawienie ze mnie miłości i życia”.

MAGDALENA CIELECKA: Premiera „4:48 Psychosis” w reżyserii Grzegorza Jarzyny.

Według Sarah Kane, która napisała tylko kilka, za to wybitnych tekstów, zanim w wieku 28 lat popełniła samobójstwo. Ten spektakl do dziś uchodzi za radykalny.

Dużo to panią kosztowało?

– Bardzo. Nie miałam mechanizmów obronnych, nie miałam narzędzi aktorskich, ludzkich, żeby się od tego oddzielić. Brałam wszystko z siebie, z własnych flaków. Szatkowałam je na oczach widowni. Tak, jakby to była moja własna krew, prawdziwa. Dopiero po latach wykształciłam pancerz, który dawał mi jakieś bezpieczeństwo.

Ale wtedy...

– Chciałam tego. Strasznie chciałam cierpieć naprawdę. To był rodzaj masochistycznej przyjemności, że tyle to mnie kosztuje, że chodzę zaryczana, oglądam tylko smutne filmy, słucham smutnej muzyki. Cała byłam w tym świecie, a potem wychodziłam na scenę i się w nim spalałam. I czułam, jak mocno to działa. Czułam, że robię coś ekstremalnego, nowego, wielkiego, ryzykownego. Ryzyko bardzo pociągało. Widownia nie była do tego przyzwyczajona, dotąd w teatrze nie używało się takich środków.

Płaciła pani za to jakąś cenę? Za to spalanie się w teatrze.

– Totalną.

2001

Dwadzieścia lat temu Rozmaitości – dziś TR Warszawa – stały się najważniejszym teatrem w Polsce. Grzegorz Jarzyna, Krzysztof Warlikowski i młodzi aktorzy: Maja Ostaszewska, Cezary Kosiński, Andrzej Chyra, Jacek Poniedziałek, pani. Potem w gazetach pisali, że robiliście rewolucję.

– To był kosmos. Tak dziś myślę o tym czasie, ale nawet wtedy, kiedy byłam w samym środku, miałam świadomość, że dzieje się coś niezwykłego. Wszyscy byliśmy młodzi i wszyscy byliśmy w trakcie przemiany. Zresztą nie tylko my. Teatr, Warszawa, Polska – wszystko się zmieniało. W ogóle nie pamiętam upływu czasu. Życie było totalnie podporządkowane pracy i teatrowi. Jedno w drugie wchodziło, splatało się ze sobą. Myśmy ze sobą pracowali, żyli, bawili się, wyjeżdżali, spędzali wolny czas. Byliśmy grupą przyjaciół, dziś bym powiedziała nawet, że rodziną, nawet jeśli taką z problemami. Ciągłe posiadówki, domówki, rozmowy, zostawanie w teatrze po próbach, po spektaklach. Czas pędził. Nasze kariery wybuchały. Pracowaliśmy właściwie na okrągło.

Do Rozmaitości chodziło się wtedy jak do klubu.

– Mówiło się o nas: „Najszybszy teatr w Warszawie” i „Teatr w glanach”. To był teatr dla młodych ludzi, szukających ryzykownych, nowoczesnych treści. Sam fakt, że trzydziestoletni Grzegorz Jarzyna został dyrektorem teatru i że mógł w nim

zrobić niemal wszystko, co chciał, sporo mówi o tamtym czasie. W naszych spektaklach była nagość, bluzgi, krew, krzyki, mnóstwo dragów. Mówiło się, że hardcore wszedł na scenę. Nikt wcześniej nie robił takiego teatru. Ten teatr – i każdy z nas – był wtedy dzikim żywiołem.

A miało być inaczej.

– Jak byłam w krakowskiej szkole teatralnej, oglądałam moje troszkę starsze koleżanki – Dorotę Segdę, Anię Radwan – w spektaklach szekspirowskich, w pięknych sukienkach, w klasycznych dekoracjach. Myślałam: „Boże, ja tak strasznie chcę tam być!”. I co? Pierwsza rola w Starym: „Ocaleni” Edwarda Bonda w reżyserii Gadiego Rolla. Grałam tam jakiegoś zbuntowanego, przeklinającego kurwiszona. Miałam straszny sprzeciw wobec tej roli.

Stary panią rozczarował?

– Przeciwnie! Był spełnieniem moich marzeń! Kiedy trafiłam tam po studiach, czułam, jakbym złapała Pana Boga za nogi. Na studiach każdy żył w niepewności: czy ktokolwiek mnie zatrudni? A jeśli tak, to gdzie? Sukcesem było już zostanie w Krakowie.

A jednak zostawiła pani ten teatr dla Grzegorza Jarzyny i Warszawy. Miała pani dwadzieścia parę lat.

– Miałam wtedy poczucie, że rujnuję wszelkie pokładane we mnie nadzieje, że sprzeniewierzam się wszystkim ideałom, które nam w Krakowie wkładano do głowy. Wtedy Warszawa to było zło, kicz i komercja. Mówiło się, że aktorzy się tu sprzedają. Ja zresztą jeździłam do Warszawy pracować w filmach. Dobre dwa lata spędziłam w pociągu. Rano na dworzec, na plan, a potem o piętnastej powrót do Krakowa, żeby zdążyć na spektakl o 19. O piętnastej z Centralnego ruszał tzw. pociąg robotniczy. Krakowscy aktorzy wracali do swoich teatrów. Długo nie umiałam tej pępowniny odciąć. Ale byłam związana z Grzegorzem, i artystycznie, i prywatnie. Kiedy – po sukcesie „Bzika tropikalnego” – został dyrektorem Rozmaitości, przenieśliśmy się tu całą grupą.

Nie brakowało pani tych pięknych sukienek i klasycznego Szekspira?

– Do dziś mi czasem brakuje. Z jednej strony narzekamy, że katusimy tak trudne tematy. Że to tak boli. Ale jednocześnie to bardzo wciąga. Miałam parę momentów totalnego wyczerpania

”

**O TAMTYCH
ROZMAITOŚCIACH MÓWIŁO
SIĘ, ŻE HARDCORE WSZEDŁ NA
SCENĘ. NIKT WCZEŚNIEJ NIE
ROBIŁ TAKIEGO TEATRU. TEN
TEATR – I KAŻDY Z NAS – BYŁ
WTEDY DZIKIM ŻYWIOŁEM**

taką eksploatacją, że mówiłam: ja już chcę tylko grać bezpieczne role na siedząco. Ale na tym krześle zaczyna być bardzo niewygodnie. Mimo że nie trzeba się rzucać po ścianach i ranić, to piękne krzesło szybko przestaje wystarczać, zaczyna nudzić. Chyba mam po prostu w sobie takie rozdarcie, więc trzeba je od czasu do czasu rozdrapywać.

Pamięta pani tamtą Warszawę?

– Strasznie się jej na początku bałam. Bałam się tu jeździć samochodem, bałam się, że się zgubię. Warszawa była brzydka, chaotyczna, wydawała się groźna. Scena klubowa była mizerna, nie było gdzie chodzić, gdzie usiąść. W ogóle nie przypominała tej dzisiejszej. Pamiętam, jak pierwszy raz podeszłam pod drzwi klubokawiarni Między Nami na Brackiej. Zobaczyłam napis: „Wstęp tylko z kartą klubową”. Do głowy by mi nie przyszło, żeby tam wtedy wejść.

Parę lat później paparazzi czekali tam na was, żeby wam robić zdjęcia. Bo było wiadomo, że tam najłatwiej was znaleźć.

– Ale to było jeszcze przed tabloidami. Żyliśmy swoim życiem bez plotkarskiej wiwisekcji. Pamiętam, jak w „Elle” ukazał się krótki wywiad ze mną. I zdjęcie! Byłam taka dumna, jakbym dostała jakąś wspaniałą nagrodę. Pomyślałam: Boże, jakbym chciała kiedyś być na okładce takiego pisma!

A Polska w 2001?

– Miałam poczucie, że jesteśmy na wyjściu z progu na skoczni narciarskiej. W powietrzu unosi się obietnica, zapach otwartej wspaniałej przestrzeni, która na nas czeka, wystarczy się wybić i polecieć. I polecieliśmy. Warszawa wciąż była takim chaotycznym potworkiem: coś nowego powstawało, a obok syf. Była brzydko piękna, nie wiadomo było, w jaką stronę ta poczwarka pójdzie. Z drugiej strony w tym chaosie byli artyści, którzy mogli mówić swoim głosem, nikt ich nie kontrolował, nie cenzurował. Nikt nie wkraczał w ich decyzje. Był nowy teatr, coś się zaczynało. W całej Polsce tak było. Pod spodem coś zaczynało buzować, jak tsunami, czuło się, że to za chwilę wybuchnie. W teatrze, w mieście, w biznesie, w ludziach po prostu. Ludzie wierzyli, że się zacznie fajne życie.

2021

Niemal 20 lat po premierze „Psychosis” nie ma już jednego teatru Grzegorza Jarzyny i Krzysztofa Warlikowskiego.

Są dwa. Młody zespół aktorski wyrósł na zespół wielkich gwiazd. Czuje pani jeszcze ten gniew z „Psychosis”?

– Wchodzę w to, ale już nie po to, żeby spłonać. To już nie jest mój gniew, moje flaki. To jest ze mnie, ale jestem chroniona rodzajem pancerza. Już jakieś 10 lat temu, grając ten spektakl, miałam poczucie, że wstydę się grać go tak jak dawniej. Nie dlatego, żeby mnie to obnażało czy zbyt wiele kosztowało. Po prostu ten język, to, czym epatowaliśmy w 2001 r., już się zużyły. Także dlatego, że od tamtej pory w bardzo wielu spektaklach i wielu filmach używano podobnych środków. Ten spektakl bardzo się zmienił przez te 20 lat. Dziś pewnie bym się uśmieła, gdybym zobaczyła premierę. Że takie to niedojrzałe.

Warszawa też się zmieniła?

– Z poczwarki wyrosła na motyla. Wszystko jest pięknie, ładnie.



„4:48 Psychosis” Sarah Kane, reż. Grzegorz Jarzyna, Teatr Rozmaitości, Warszawa, luty 2002 r. Na zdjęciu od lewej: Magdalena Cielecka, Janusz Stolarski, Mariusz Benoit, Edward Warzecha

”**MYŚLAŁAM, ŻE TA POLSKA, KTÓRĄ WIDZIELIŚMY MAJACZĄCĄ W ODDALI, O KTÓREJ MARZYLIŚMY, WYDARZA SIĘ NAPRAWDĘ. A POTEM ZACZĘŁA SIĘ ZMIENIAĆ**

A Polska? Spełniła marzenia?

– Przez jakiś czas wydawało się, że spełni. Myślałam, że to się dzieje, że ta Polska, którą widzieliśmy majaczącą w oddali, o której marzyliśmy, wydarza się naprawdę. A potem zaczęła się zmieniać.

Tę dzisiejszą Polskę przeczuwaliście już w 2013 r., w „Kabarecie Warszawskim” Warlikowskiego. Spektaklu, który zwiastuje nadejście katastrofy i nowego świata. Całkiem innego od tego z marzeń.

– Krzysztof ma niezwykłą intuicję. Przeczuwa wiele rzeczy, rzeczywistość rezonuje z jego spektaklami. W dzisiejszej Polsce wszystko się skomplikowało, pozmieniały się znaczenia słów, wartości. Spieramy się o najprostsze, najbardziej podstawowe rzeczy. O znaczenie słów: uczciwość, przyzwoitość, człowieczeństwo. Zabrnęliśmy w ślepą uliczkę. To, co kiedyś było najwyżej węzłem konfliktu, urosło do rozmiarów węzła gordyjskiego i mam poczucie, że nikt nie wie, jak go rozwiązać. Jakoś trwamy, siedzimy sobie w Nowym Teatrze, nowoczesnej instytucji kultury w środku Warszawy, która jest piękna, w której dzieją się wspaniałe rzeczy. Ale przychodzi refleksja: jak długo to potrwa? Czy warto? Czy jest dla kogo? Czy z dzisiejszej szkoły wyjdą ludzie, którzy będą zainteresowani tym teatrem? Czy Nowy, TR, Powszechny będą jeszcze istniały?

Wasz ostatni spektakl powstawał w czasie pandemii.

„Odyseję. Historię dla Hollywoodu” Krzysztofa Warlikowskiego zagraliście tylko kilka razy.

– To piekielnie smutny spektakl, chyba najmroczniejszy ze wszystkich spektakli Krzysztofa. Mało światła, nie ma tych krzyśkowych feerii barw. W trakcie pracy odszedł Zygmunt Malanowicz, czyli nasz Odys. To nas zdruzgotało. Doświadczaliśmy straty jednego z nas... To jest spektakl o powrotach. Próbuje do czegoś wrócić, ale tego już nie ma. Mamy wymagowaną Itakę, Itakę ze wspomnień, trochę jak te nasze 20 lat temu. Chcemy tam dojść, a kiedy dochodzimy, okazuje się, że ona jest już czymś innym. Gdzie jest nasze miejsce dzisiaj? Może nigdzie? Może w żadnym miejscu nie będziemy się czuli komfortowo? Wszyscy nieustannie szukamy swojego miejsca. Wyjeżdżamy, wracamy, tęsknimy, szukamy. Nie potrafimy znaleźć.

Może ta nasza rozmowa to jest smutna opowieść o tym, że się wyrusza w podróż, a w połowie drogi okazuje się, że to miejsce, do którego się chciało dopłynąć, nie istnieje? Albo go nigdy nie było.

– Chyba tak. Choć przecież paradoksalnie żyje nam się lepiej. Warszawa jest piękna, łniąca, jedzie się tu rowerem i czuje, jak by się było w Berlinie, w Nowym Jorku. A jednak coś uwiera.

Świat, o którym się marzy, się nie wydarza?

– Nie da się przewidzieć, gdzie się wyląduje. Na tym polega chyba i dramat, i piękno życia. Nigdy nie wiemy, do czego dojdziemy. W sztuce też. Samo w sobie to jest interesujące. Pozostaje szukanie tego punktu, podróż. To jest chyba najciekawsze. Dzisiaj jesteśmy tu.

Nie wygląda to za ciekawie.

– No tak, ale kto wie, gdzie będziemy za kolejne 20 lat?

Teraz, inaczej niż 20 lat temu, mamy przekonanie, że żyjemy w czasach ostatecznych. A może zawsze mieliśmy?

– Tylko że teraz są na to naukowe dowody. Łapiemy się na ciągłym myśleniu: czy następne pokolenie będzie miało gdzie żyć? Co, jeśli za 20 lat nie będzie wody? Wiele na to wskazuje.

Gdyby nie było przyszłości, to co wtedy?

– To wtedy nic nie ma sensu. Wszystko się robi na przyszłość. Jeśli nie ma przyszłości, to po co robić cokolwiek? Po co rodzić dzieci, dbać o zdrowie, o planetę? Nie ma motywacji.

Czyli jednak trzeba wierzyć? Mimo wszystko?

– Tak. Podnosimy się z najstraszniejszych kataklizmów, taką mamy naturę. Ile już razy nie mieliśmy prawa się podnieść, a jednak podnosiliśmy się. Umysł musi płać nam takiego figla, żeby iść do przodu. Człowiek nigdy nie przyjmie, że nie ma przyszłości. Nie wierzę w to. Aż, jak w „Melancholii”, jakaś planeta walnie w ziemię.

Czyli w 2001 roku byliśmy na skoczni narciarskiej i przyszłość wyglądała obiecująco. A dziś?

– A dziś dalej lecimy, tyle że pod wiatr. Może i skafander jest już trochę zużyty i przyciasny, ale lecimy. Trzeba lecieć. Trzeba lecieć dalej. **N**

dawid.karpiuk@newsweek.pl